

Rozdział I

Khalik miał szesnaście lat, kiedy pierwszy raz zabił człowieka. Niektórzy członkowie jego plemienia nigdy nie musieli tego zrobić. Niewielkie karawany podróżujące pustynią Raz-Hal Mat zwykle oddawały część swoich towarów bez walki. Było to rozsądne wyjście dla obu stron, kupcy uchodzili z życiem i częścią swoich dóbr, zarabiając na wyprawie jakieś pieniądze — lub niewiele tracąc — a plemię Haruba nie ściągało na siebie zbyt wielkiej uwagi władców północnych królestw i republiki handlowej.

Napady z ich perspektywy były nieodzowne. Za sprzedane skóry, biżuterię czy przedmioty codziennego użytku kupowali niezbędne do przeżycia sadzonki, warzywa i zwierzęta. Coraz gwałtowniej zmniejszająca się liczba oaz nie pozwalała na wyżywienie trzystu członków plemienia, które teraz żyło już tylko w jednej enklawie — dobrze ukrytej wśród skał Mhalamie — rzadko zapuszczając się w inne rejony pustyni.

Tamta śmierć nie była konieczna. Khalikowi wydawało się wtedy, że jeden z eskortujących karawanę najemników sięgał po kuszę i przedwcześnie wystrzelił ze swojej. Bełt przebił szyję nieszczęśnika i strącił go z konia. Mężczyzna skonał w szybko rosnącej plamie krwi na piasku. Reszta eskorty poddała się natychmiast. Przez kilka dni po napadzie Khalik próbował się przekonywać, że gdyby nie on, najemnik mógłby zabić kogoś z jego plemienia. Z czasem jednak zaczął zadawać sobie pytania: może on chciał tę kuszę odrzucić w geście poddania, może nawet wcale po nią nie sięgał?

Od tamtego napadu minęły trzy lata, przez ten czas Khalik nie musiał nikogo zabić, a jego poczucie winy skryło się gdzieś w głębi jego umysłu. Gdyby wymagała tego sytuacja, nie zawahałby się ani chwili, by wypuścić bełt czy chwycić za miecz. Tego dnia nie spodziewał się jednak kłopotów. Napad miał być szybki i łatwy: jeden dwukonny wóz bez eskorty, woźnica i może ktoś pod płóciennym zadaszeniem. Khalikowi wydawało się dziwne, że kupiec transportuje towary akurat wozem, zamiast objuczonymi końmi lub wielbłędami. Miał raczej małe szanse na to, że po drodze nie ugrzęźnie w piasku. Chociaż z drugiej strony pustynią podróżowali już tylko mniej zamożni kupcy, których nie stać było na transport towarów morzem z Ariany do Kadras czy Tariny. A biedniejsi kupcy musieli być głębsi — tak to sobie tłumaczył. Pojazd poruszał się wąwozem między skałami, znanym wielu kupcom jako miejsce zasadzek, ale też jako jedyny w tym rejonie pustyni azyl przed piaskową burzą, która miała uderzyć lada chwila.

— Zaraz tu będzie — stwierdził Hamal. — Musimy zejść do wąwozu, inaczej nas zasypie. Dzisiaj duchy Raz-Hal Mat są wyjątkowo rozsierdzone.

— Zdążymy — uspokajał Khalik. — Zobacz, jaki łatwy łup nam się trafił, dziny nam sprzyjają. — Osobiście nie wierzył w żadne duchy czy dziny, ale użyłby każdego argumentu, żeby nakłonić swoich towarzyszy do pójścia za nim.

Wreszcie wóz wyłonił się zza zakrętu i znalazł w miejscu zaplanowanej zasadzki. Khalik dał znak znajdującym się po przeciwnej stronie wąwozu Raszadowi i Dżalowi, którzy szybko zsunąwszy się na dół, zaszli pojazd od tyłu. Jednocześnie Khalik i Hamal zagrodzili dalszą drogę woźnicy i wycelowali w niego kusze.

— Co tam ciekawego przewozicie, dobry człowieku? — zapytał Khalik.

— Nic, co by was zainteresowało, zostawcie nas. — Woźnica był bardziej rozdrażniony niż przestraszony.

„Powiedział *nas*, więc w wozie musi być przynajmniej jeszcze jedna osoba” — zauważył Khalik. Zirytowało go zachowanie mężczyzny, powinien się ich bać.

— A to się jeszcze okaże. Mają tam co ciekawego na wozie? — zwrócił się do Raszada i Dżala.

— W środku na noszach leży jakiś zabandażowany facet. O, jest jeszcze skrzynia — po chwili usłyszał głos Dżala.

W tym samym momencie zauważył, że wozak puścił cugle i opuścił prawą rękę, jakby czegoś szukał pod siedzeniem. Błyskawicznie wycelował z kuszy w jego głowę.

— Nawet o tym nie myśl.

Mężczyzna podniósł ręce do góry.

— Zostań przy koniach — rozkazał Hamalowi. — My zobaczymy, czy jednak coś nas nie zainteresuje z tej skrzyneczki. — Gestem nakazał woźnicy, by poszedł przodem.

Kiedy znaleźli się z tyłu pojazdu, burza piaskowa rozgorzała już nad wąwozem.

Ukształtowanie skał u góry chroniło jednak dno zagłębienia. Im większa siła wiatru, tym mniej piasku dostawało się na dół. A dziś rzeczywiście dżiny — o ile istniały — były potężnie rozsierdzone. Spokojne, nieruchome dno wąwozu dziwnie kontrastowało z szalejącym u góry piaskowym, chaotycznym piekłem. Raszad szukał czegoś przy człowieku na noszach, Dżal przetrząsał właśnie zawartość wyciągniętego z wozu kufra. Na piasku leżały znoszone ubrania, bandaże, mała siekiera i inne nic z ich punktu widzenia nie warte „śmieci”. W końcu Dżal wyjął ze skrzyni zawinięty w płótno podłużny przedmiot. Odwinął tkaninę. Ich oczom ukazał się prosty miecz, długości najwyżej metra, z okrągłą głowicą, w skórzaney czerwono-czarnej pochwie. Uwagę Khalika od razu przykuł znajdujący się na środku jelca niewielki, czerwony klejnót w kształcie rombu. Położył kuszę na piasku, wziął klingę z rąk Dżala i uważnie obejrzał.

— A jednak macie coś interesującego — z szyderczym uśmiechem zwrócił się do wozaka.

Znajdujący się w wozie Raszad spojrział na potencjalnie cenne znalezisko. Następne wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Leżący do tej pory w wozie nieprzytomny człowiek wyjął spod noszy nóż i ugodził Raszada w szyję. Khalik upuścił miecz. Sięgnął po leżącą na piasku kuszę. Dżal był szybszy, wystrzelił ze swojej broni, trafiając napastnika w klatkę piersiową i powalając go. To dało woźnicy czas na wyciągnięcie noża z rękawa i wbicie go Dżalowi pod brodę. Khalik dopiero teraz nacisnął spust swojej kuszy. Bełt wbił się w sam środek czoła wozaka. Powalony przez Dżala obandażowany mężczyzna wstał i chwycił za bułat Raszada. Ponieważ Khalik, strzelając do woźnicy, usiadł na swojej pochwie z mieczem, nie namyślając się, chwycił za broń znaną przed chwilą w skrzyni. Człowiek z wozu był już na zewnątrz, ale zawahał się na chwilę, dostrzegając dłoń Khalika wyciągającą ostrze z pochwy. Chłopak poczuł jakby jakaś nieznana siła przeszła go na wskroś, poczynając od dłoni z mieczem. Mógłby również przysiąc, że klejnót na jelcu rozjarzył się na moment ognistą czerwienią.

Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, napastnik już wykonał skok z cięciem z góry. Khalik zablokował cios, szybko odturlał się do tyłu i w ostatniej chwili zdążył zbić pchnięcie napierającego oponenta. Pomimo licznych ran skrywanych pod bandażami i bełtu sterczącego z piersi, mężczyzna był piekielnie szybki. Zaatakował ponownie, cięciem z prawej, lecz Khalik nie miał zamiaru przegrać z tak osłabionym wrogiem — sam wyprowadził cios. Gdy ich klingi starły się ze sobą, stało się coś dziwnego. Ostrze Khalika na moment zapłonęło. Nie było to złudzenie, wyraźnie widział płomienie dookoła głowni. Zdziwiony przeciwnik wybałuszył oczy, on również musiał je zauważyć. Chwilową pauzę w starciu przerwał Hamal, który zjawił się już na tyłach wozu i trafił z kuszy w plecy przeciwnika. Ten podparł się mieczem, aby nie upaść. Korzystając z niepowtarzalnej okazji, Khalik błyskawicznym ciosem zaatakował niebronioną teraz szyję i ściął mężczyźnie głowę.

— Co tu się stało? — zapytał zszokowany Hamal, rozglądając się dookoła. — Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas w wozie i...

Jego wzrok zatrzymał się na leżącym na ziemi Dżalu. Potem zajął do wozu i zwymiotował na widok wykrwawiającego się bezradnego Raszada. Khalik wskoczył do pojazdu. Myślał, że może uda mu się jakoś pomóc, ale jedyne co mógł zrobić, to trzymać przyjaciela za rękę w ostatnich chwilach jego życia. Raszad próbował coś mówić, lecz z jego gardła dobywał się tylko niezrozumiały gulgot. Gdy kompan odszedł, Khalik zamknął mu oczy i wyskoczył z wozu.

— Co teraz? — zapytał wciąż roztrzęsiony Hamal.

— Ciała i skrzynię na wóz. Zwierzęta i drewno przydadzą się w Mhalamie, a tych dwóch wyrzucimy po drodze. Raz-Hal Mat się nimi zaopiekuje.

Zajęli się swym zadaniem w milczeniu. Nie mówili również nic, czekając dwie godziny na koniec burzy piaskowej. W końcu, kiedy pozbyli się już ciał woźnicy oraz zabandażowanego wojownika i powoli zbliżali do oazy, Hamal się odezwał:

— Dzał miał się żenić w przyszłym miesiącu, a Raszad...

— Wiem — przerwał mu Khalik. — Wiem.

Pozostałą drogę milczeli.

Mhalama była dużą oazą i domem dla ponad trzech setek członków plemienia Haruba. Schowana wśród skał, zapewniała schronienie przed burzami piaskowymi i wzrokiem potencjalnych agresorów, ale nade wszystko, posiadała wodę. Kilkanaście studni pozwalało na utrzymywanie przy życiu ludzi oraz zwierząt i podlewanie roślin zakupionych w północnych królestwach — Kadras i Tarinie (skąd również sprowadzono dla nich ziemię). Dziko rosły tu też bananowce, figowce i cytrusy. Same skały z licznymi jamami doskonale nadawały się do zamieszkania — skutecznie chroniły przed słońcem, miały mnóstwo miejsca i — czego nie należy nie doceniać w jednostajnym krajobrazie pustyni — były absolutnie niepowtarzalne; każda izba miała inny kształt i rozmiar.

Do samej oazy można się było dostać jedynie przez trzy ciemne, długie jaskinie, w których ktoś obcy na pewno by się zgubił. Strażnicy wystawieni w jamach na zewnątrz, ukryci i skrzętnie obserwujący teren z wysoka, zapewniaли dodatkową ochronę. Mieli ostrzegać ludzi w środku o wszelkich zagrożeniach. Ewentualny atak byłby powstrzymywany już w jaskiniach, które Haruba doskonale znali. Nigdy dotąd nie musieli się jednak bronić. Mhalama było trudna do znalezienia, a oni nie ściągali na siebie nadmiernej uwagi władców Kadras, Tariny czy leżącej na południu republiki handlowej Ariany. Zwłaszcza ci ostatni nie chcieli mieć z nimi do czynienia, już dwieście lat temu postawili lśniący niebieską emalią mur, odgradzający ich kraj od Raz-Hal Mat.

Dla wyznających monoteistyczną religię Arian, pustynny lud Haruba ze swoimi zabobonami i dżinami był czymś prymitywnym. Przypominał im czasy, zanim sami stali się ucywilizowani. Czasy, od których stanowczo się odcinali i jakich nie chcieli nawet pamiętać. Handel z Arianami był dla Haruba niemożliwy, nie zostaliby nawet wpuszczeni za mur. Choć wyglądali tak samo jak ich sąsiedzi z południa — pomarańczowa, niemal brązowa skóra, czarne włosy i brązowe oczy — i ubierali się podobnie, w przewiewne, szerokie szaty, idealne do cyrkulacji chłodzącego powietrza, nie mieli dokumentów, jakie posiadał każdy mieszkaniec republiki handlowej. Arianie i Haruba mieli wspólne korzenie, ale poróżniła ich religia.

Z tego powodu plemię Khalika handlowało z leżącymi na północy Kadras — które posiadało długą granicę z Raz-Hal Mat od swojej południowej strony — i Tariną, która graniczyła z pustynią na niewielkim odcinku w swojej południowo-zachodniej części. Dla mieszkańców północy Haruba byli kupcami z Ariany. Tam nikt nie sprawdzał im żadnych dokumentów, a wybór sadzonek i zwierząt był nawet lepszy niż w republice handlowej. Tak przynajmniej myślał Khalik, dla którego Ariana była tylko pustynią z większymi oazami. Nie miał pojęcia, że w miastach portowych południowej części kraju wymienia się towary z całego niemal znanego świata, a zwierzęta, o których nigdy nawet nie słyszał — jak słoń, małpa czy lew — były częścią codziennego handlu.

Do napadów Haruba na karawany nie dochodziło aż tak często, żeby wymagały one interwencji władz. Zorganizowanie wyprawy na pustynię pochłonęłoby o wiele więcej środków, niż udałooby się z niej uzyskać. Jedyną rzeczą, na jaką musiało uważać pustynne plemię, było nie odsprzedawanie zrabowanych przedmiotów zbyt wcześnie po ich „nabyciu” — chociaż i tak dotyczyło to głównie biżuterii. Mimo niewielkiego prawdopodobieństwa najazdu na Mhalamę, strażnicy poważnie traktowali swoją służbę.

Jednego z nich Khalik zauważył przez chwilę, kiedy znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów od jedynej jaskini, przez jaką dało się przejechać wozem. Wiedział jednak, gdzie go szukać, inaczej nie miałby szans go wypatrzyć. Przed wjazdem nikt ich nie przywitał, kontakt następował dopiero po opuszczeniu jaskiń w oazie. Był to kolejny środek zapobiegawczy. Gdyby ktoś obserwował z daleka skały chroniące Mhalamę i dostrzegł powitanie, mógłby się domyślić, iż w środku mieszka więcej osób, lecz kilku ludzi chroniących się w jaskini przed skwarem pustyni nie było niecodziennym widokiem.

Dziesięć minut zajęło im nawigowanie wąskimi, ciemnymi jaskiniami, ale w końcu powitało ich światło u wylotu tunelu i mogli zgasić zapaloną wcześniej pochodnię. Wieści o wozie doszły już

do mieszkańców, którzy licznie zgromadzili się na ich drodze. Największe zainteresowanie wóz budził wśród dzieci, które energicznie biegały dookoła pojazdu, dotykając koni z zaprzęgu. W tłumie znalazły się oczywiście rodziny członków wyprawy. Ojciec Khalika i jego macocha spokojnie obserwowali pochód. Narzeczona Dżala, Miriam, przeciskała się między ludźmi z uśmiechem na ustach. Ciężarna żona Raszada, Aisza, wraz z ich dwuletnim synem, Haladem, stała i machała ręką na powitanie. I to ona pierwsza zauważyła, że coś jest nie w porządku. Wiedziała, że wyprawa powinna liczyć czterech mężczyzn, na wozie siedziało zaś tylko dwóch. Zwykle pozostali biegliby już koło zdobyczy, witając się z rodzinami po kilku dniach rozłąki. Spojrzała w oczy Khalikowi, ale ten spuścił wzrok. Hamał nerwowo spoglądał wszędzie, tylko nie na nią i Miriam. Gdy wóz się w końcu zatrzymał, w powietrzu czuć było nerwowy nastrój. Coraz więcej ludzi domyślało się, że stało się coś strasznego.

A potem były już tylko krzyki rozpacz, których Khalik miał nigdy nie zapomnieć.

— Wysłałem was chyba po to, żeby zrobić rozeznanie w najbliższych oazach, czy można z nich coś zebrać, tak? — rozpoczął przesłuchanie przed radą plemienia Dżadżad. Jak zwykle nosił czarną szatę, jak zwykle był zdenerwowany i jak zwykle na Khalika. Niestety był też przywódcą jedenastoosobowej rady Haruba.

— Tak, ale nic w nich nie było. Nie ma w nich nic od dwóch lat. Tracimy tam tylko czas — oponował Khalik.

— Nie zmieniaj tematu! Dostaliście prosty rozkaz, ty dostałeś prosty rozkaz...

— I go wykonałem...

— Nie przerywaj mi! — Dżadżad trzasnął pięścią w stół — jedyny mebel w sali rady — tak mocno, że stojące na nim naczynia z jadem i wodą aż podskoczyły. — Dostałeś prosty rozkaz, nawet jeśli go wykonałeś, powinieneś od razu wracać do Mhalamy!

Khalik odetchnął, spojrzał na pozostałych członków rady, pięciu po jego prawej stronie, pięciu po lewej. Przez chwilę zatrzymał wzrok na ojcu, Rahfadzie, który kiedyś był nawet przewodniczącym tego zgromadzenia. Kiedyś... Kiedy żyła jeszcze jego matka, Amina. Mimo że zmarła ledwie cztery lata temu, wydawało się jakby od tamtego czasu minęły całe wieki. Po jej śmierci ojciec szybko poślubił Aszfanę, z którą Khalik nigdy nie miał najlepszych relacji — nie chciała go naprawdę poznać i odnosił wrażenie, że zawsze traktowała go z góry, jakby nawet nie był wart jej spojrzenia. Tak naprawdę Aszfana nie lubiła go, bo był synem Aminy, która przed laty wygrała z nią rywalizację o Rahfada — ale z tego chłopak nie zdawał sobie sprawy. Ojciec Khalika jak zwykle zachowywał kamienną twarz, nie zdradzającą żadnych emocji. Syn nigdy nie wiedział, czy za chwilę go zbeszta, pochwali czy pójdzie spać bez żadnego słowa. Zebrał myśli i starał się mówić spokojnie.

— Wykonaliśmy rozkaz, wracaliśmy do domu, ale zbliżał się samum, więc zboczyliśmy lekko z trasy, żeby schronić się w tym wąwozie, gdzie zawsze mieliśmy najlepsze żniwa. — Mówiąc *żniwa*, miał na myśli oczywiście napady rabunkowe. — Dżiny tego dnia były zdenerwowane, a ten wąwóz to świetna ochrona przed burzą. — Nie wierzył w dżiny, ale miał nadzieję, że wzmianka o nich jakoś mu pomoże; tak jakby to one pchnęły ich wyprawę w to miejsce. — No a potem ten wóz sam się napatoczył...

— I wzdłuż całej drogi nie było innych miejsc do przeczekania burzy? — nie dawał za wygraną Dżadżad.

Khalik spuścił wzrok. Wszyscy doskonale wiedzieli, że grupa pod komendą Khalika mogła znaleźć inne schronienie, nie zmieniając wcześniej obranej drogi. Przesłuchiwany bąknął coś pod nosem, ale chyba nawet on nie wiedział co.

— Co się stało w trakcie akcji? Dlaczego Rasząd i Dżal nie żyją? — kontynuował Dżadżad.

Khalik dość wiernie streścił przebieg napadu, po czym dodał:

— Ten zabandażowany musiał być jakimś wielkim wojownikiem, nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak szybkiego.

— Wielkim wojownikiem, mówisz? — Widać było, że Dżadżad zaczyna tracić panowanie nad sobą. — Gówno prawda! Do tej pory walczyłeś z bezbronnymi kupcami lub słabo opłacaną

eskortą. A tym razem po prostu dałeś się zaskoczyć. — Nie uszło uwagi Khalika, że Dżadżad użył słowa *dałeś*, a nie *daliście*, jakby był w tej sytuacji jedynym zaskoczonym, jedynym, który popełnił błąd. Już miał wygarnąć przywódcy rady, co sądzi o jego sposobie przeprowadzania przesłuchania, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

— I dla jakiego łupu poświęciłeś swoich współplemieńców? Ludzi, którzy powierzyli swoje życie w twoje ręce? — Dżadżad się rozkręcał.

— *Poświęciłeś?* Mówisz, jakbym celowo...

— Nie przerywaj mi! — warknął Dżadżad. — Co za bezczelność, ty... ty... — przewodniczący w porę się opanował. — Wnieście skarby, które według tego młokosa warte były życia dwóch naszych braci — zwrócił się do strażników przy wejściu do sali obrad.

Po chwili przyniesiono zdobytą tego dnia skrzynię i postawiono przed Khalikiem. Dżadżad napił się w tym czasie wody ze swego ulubionego złotego kielicha, obszedł stół i otworzył wieko. Zaczął wyrzucać z niego znoszone, miejscami podarte ubrania, bandaże, miskę do zupy, którą prawie trafił Khalika w głowę, siekierkę...

— Śmieci, same śmieci. — Dżadżad z pogardą patrzył na przedmioty wyjęte ze skrzyni.

— Były jeszcze dwa konie i wóz z dobrego drewna — próbował oponować Khalik.

— A więc twierdzisz, że te dwie chabety i trochę starego drewna to dobra wymiana za życie Dżala i Raszada, tak?! — bardziej wykrzyczał niż zapytał przewodniczący.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi. Po prostu uważam, że nieobiektywnie przedstawiasz sytuację. — Khalik sam był o włos od wybuchu, ale zdobył się jeszcze na ostatni wysilek i powstrzymał przed bardziej dosadnym komentarzem. — Poza tym był jeszcze miecz, taki z czerwonym klejnotem.

— A, a więc ten miecz był wart zabicia własnych braci...

Tego było już za wiele — „Teraz ten stary dziad twierdzi, że sam ich zabiłem?”.

— Kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz! W ogóle to całe przesłuchanie jest gównem. Tu w ogóle nie chodzi o prawdę. Chcesz mnie tylko poniżyć i oczernić. Zawsze tylko o to ci chodziło!

Dżadżad dał znak strażnikom, żeby zakneblowali przesłuchiwanego. Mimo jednego ze zdobycznych bandaży, który teraz wypełniał mu usta, Khalik nie przestawał krzyczeć. Nikt jednak już nie rozumiał, jakie słowa z siebie wyrzuca. Upewniwszy się, że strażnicy mocno trzymają chłopaka, Dżadżad stanął tuż przed nim.

— Czy ktoś z rady ma coś do powiedzenia? — spytał zgromadzonych, jednocześnie patrząc Khalikowi prosto w oczy.

Chłopak liczył, że Rahfad wreszcie powie coś w jego obronie. Nikt się jednak nie odezwał.

— Odprowadzić tego... Zabierzcie mi go z oczu! — Dżadżad rozkazał strażnikom.

Po wyjściu z sali rady, strażnicy puścili Khalika, a ten pozbył się z ust zaślinionego bandaża i szybkim krokiem udał do swojej kwatery. „Dlaczego ojciec nic nie powiedział? Zostawił mnie samego, kompletnie zlekceważył” — kołatało mu się po głowie cały wieczór.

Rahfad nie odzywał się zaś, ponieważ wiedział, iż nic to nie da. Przesłuchanie było tylko okazją dla Dżadżada, żeby upokorzyć Khalika. Prawdziwe decyzje zależały od aktualnych układów między członkami rady. Wielka polityka w małej skali. Odzywając się, straciłby tylko czas, którego potrzebował, by za kulisami przekonać radnych, aby nie godzili się na wyrok Dżadżada. Od razu po zgromadzeniu zaczął działać, obiecywać, dogadywać się, dopominać o stare przysługi. Robił to całą noc, nawet po wizycie u syna.

Khalik siedział na podłodze w swojej kwaterze. Ręce splótł na kolanach, wpatrywał się w ścianę. Nie mógł wybaczyć ojcu, że go zdradził — bo tak to sobie wytłumaczył, jako zwykłą i haniebną zdradę. Kiedy Rahfad odsunął kotarę zasłaniającą izbę Khalika, ten nawet nie chciał na niego spojrzeć.

— Wyjdź, po prostu stąd wyjdź.

Zapewne powiedziałby coś innego, gdyby wiedział, że to ich ostatnia rozmowa w życiu.